

Niczego w życiu tak nie kochałem jak lasu...

Od filologii do zoofilologii

Tak powie tylko ten, kto dobrze czuje się na łonie dzikiej natury, komu nie przeszkadza zapach butwiejących liści lub błoto na leśnej drodze. Tak czuł i myślał Mój Ojciec, który zapuszczał się w dalekie leśne ostępy. Lubił obserwować zmiany zachodzące w przyrodzie. Wpoił mi umiejętność patrzenia na zwierzęta, nauczył mnie szacunku wobec nich. Pokazał, że warto pochylić się nad huczkiem i podglądać sarny. Ojciec imponował mi rozległą wiedzą przyrodniczą. Był czytany i wykształcony, ale do szkoły podstawowej nie uczęszczał. Uczyła go moja babcia, a lekcje przyrody odbywały się na wsi, na łące, w lesie. Znał nazwę każdego ptaka, owada, gryzonia. Fascynującym przeżyciem dla mnie jako dziecka była wyprawa do miejsca, gdzie żyły minogi. Wiele mu zawdzięczam, ale tę przekazaną wiedzę doceniłam, gdy zorientowałam się, że dziś ludzie nie potrafią odróżnić gawrona od wrony.

Stosunek ojca do zwierząt był szczególny. Jadąc autem zawsze je omijał. Pamiętam, że zatrzymywał się i czekał: aż przejdzie przez szosę ropucha, aż wbiegnie na pole zając „złapany” w snop światła reflektorów, aż zniknie w lesie lis biegnący poboczem. Nieszczęśliwie mogła skończyć się dla ojca kolizja prowadzonego przezeń samochodu z jeleniem, który wpadł na maskę. Jednak tacie szkoda było zwierzęcia, ponieważ to ono ucierpiało i zostało znalezione martwe w lesie nieopodal miejsca wypadku. Na Śląsku żył z węgla, na Warmii, gdzie zbudował domek – w zgodzie z przyrodą. W postawie ojca były działania ekologiczne: oszczędzał energię i wodę, segregował sztuczne i naturalne odpadki, nigdy nie kupił elektrycznej kosiarki (używał kosy), nie stosował środków chemicznych w uprawie warzyw (jaja mszyc usuwał z liści rękami!), a ogród podlewał wodą z konewek. Ubolewał nad wyprzedającą ziemi rolnej pod działki letniskowe. Własną miał we wsi. W oczach letników zapewne uchodził za dziwaka.



Andrzej Tymieniecki z dziką sroką. Nikt jej nigdy nie trzymał w klatce, mój tata – wtedy student – jeździł z nią na głowie na motocyklu po Opolu. Ptak przylatywał, kiedy chciał i odlatywał, kiedy chciał. Czasami był karmiony owadami. Fot. Barbara Siennicka

Miejsce na dom wybrał sam. Mała wioska oddalona od najbliższej gminy o kilkanaście kilometrów. Był dumny z naszych lasów. Znajomego Włocha odebrał z dworca i wiózł do wsi duktem leśnym, by pokazać, że w Polsce można przejechać kilkadziesiąt kilometrów „na dziko”. Miał nadzieję, że nigdy nie doczeka na drodze asfaltu. Nie doczekał... Dziś ta wieś ma jezdnię, a wyasfaltowana droga prowadzi do Miłomłyna. Nie jest to już ta sama wieś, co kiedyś, ale to tam ojciec pokazał mi po raz pierwszy kruka, rzekotkę czy jeża. Przywiózł jeża z lasu po to, bym wiedziała, jak wygląda, po czym odtransportował go w to samo miejsce. To tam przestałam bać się szerszeni, mających gniazdo pod okapem dachu. Nigdy tata nie zlikwidował tego gniazda, więc mieszkaliśmy z nimi w symbiozie. Nikt ich nie drażnił, one nie atakowały, a kiedy jakiś osobnik wlatywał do wewnątrz, ojciec pozbywał się go w prosty sposób. Szerszeń lądował na oknie, więc ojciec przykładł do wędrującego po szybie owada otwarte pudełko od zapalek, ale tak, by cały znalazł się wewnątrz. Potem ostrożnie, by nie zrobić mu krzywdy, zamykał pudełko, a następnie wypuszczał na wolność. Dla postronnego obserwatora wypuszczanie owada wyglądało tak, jakby tata miał tresowanego szerszenia.

Najzabawniejsza była walka ze „szkodnikami”. Przez lata ojciec łapał myszy w domu na własnoręcznie sporządzane humanitarne pułapki, które pozwalały „zdobyc” obejrzeć, a następnie wypuścić na wolność. Złapane myszy były wynoszone w pole, po czym wracały, jak nie te same, to

inne, więc to ojciec był przez nie wyprowadzany w pole, dosłownie i w przenośni. Bardziej wymyślna była „walka” z kretami. Przypominało to sytuację, kto kogo przechytrzy. Tata lokalizował kreta, umieszczał pod ziemią w jego korytarzu butelkę plastikową z wyciętymi otworami z obu stron, w niej przynętę. Chciał złapać kreta i wynieść poza ogród, ale to nigdy się nie udało. Kret zjadał przysmak, a następnie wypełniał butelkę ziemią i rył korytarz nad nią lub pod nią. Zwierzątko za każdym razem nabijało ojca w butelkę, przechytrzając człowieka inżyniera, więc po nieudolnych próbach (ileż butelek znalazł z ubitą ziemią) pozbycia się „intruzów”, zwyczajnie zostawił je w spokoju.

Dom nad jeziorem był bazą wypadową na ryby, ale ich też ojcu zrobiło się żal, więc ostatnie lata spędzał na grzybobraniu, obserwowaniu zwierząt i uprawie ogrodu z dala od miasta i ludzi uprzykrzających mu życie. Gdy po zawale trafił do szpitala w Ostródzie, zabraliśmy go późną jesienią na Śląsk, ale przed odjazdem dostaliśmy zadania do wykonania (zabezpieczenie domu na zimę). Jednym z ważniejszych było pozostawienie łożu dla ptaków. Zapewne sikorki przyleciały do ogrodu, gdzie na drzewach wisały kubki z łożem. Ptaki na pewno tam wróciły, Tata już nie wrócił.

Justyna Tymieniecka-Suchanek

Tytuł felietonu to cytata z utworu autobiograficznego „Wieśniak Marej” Fiodora Dostojewskiego.